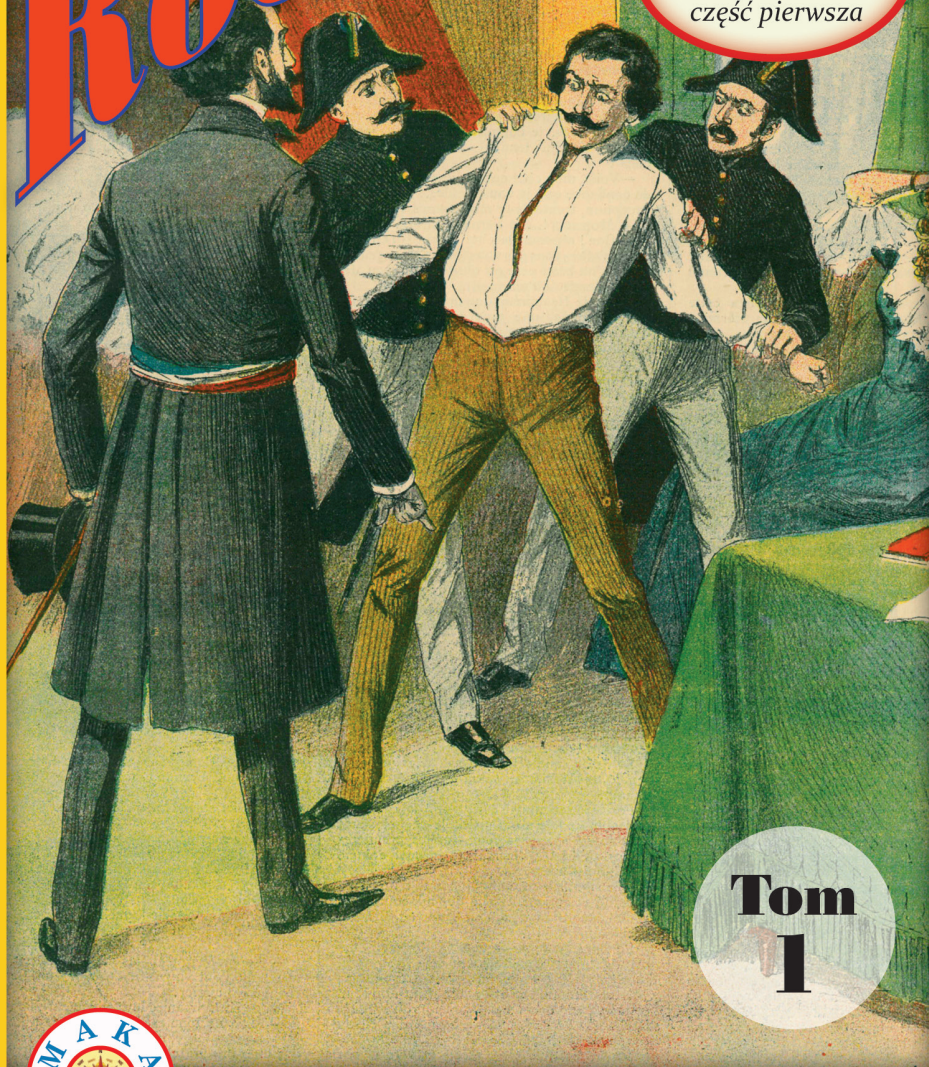


Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboles

**TAJEMNICZY
SPADEK**
część pierwsza



**Tom
1**

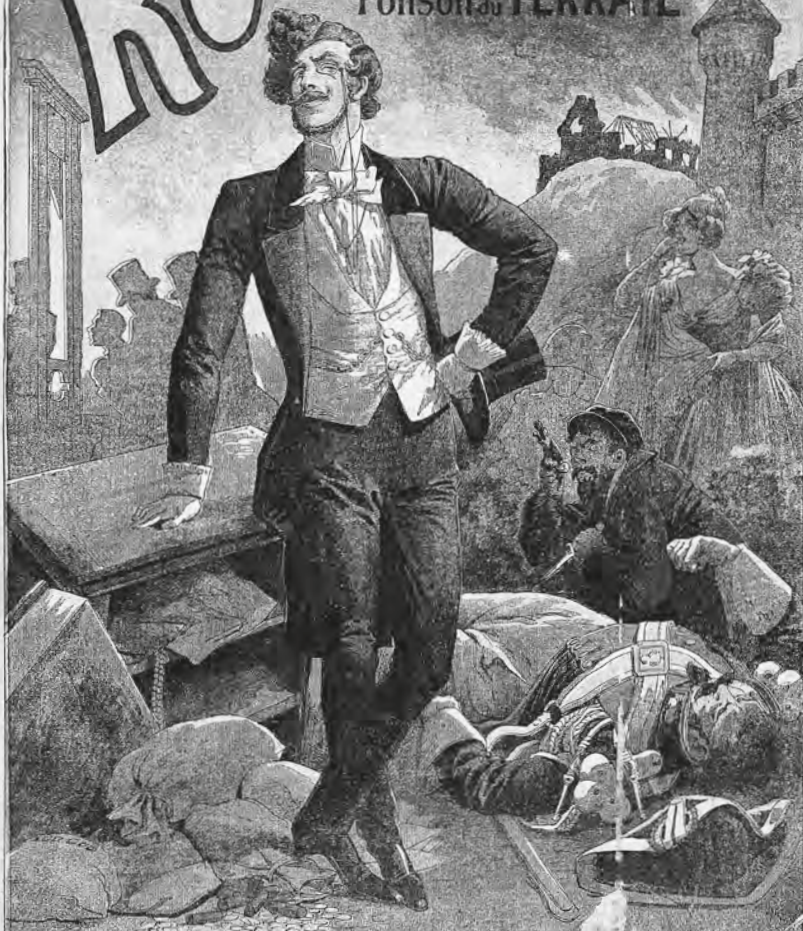


Ruda Śląska 2019
ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)
ISBN 978-83-66268-23-4 (część pierwsza)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

Le Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Tajemniczy spadek
część pierwsza



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Tajemniczy spadek

część pierwsza



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2019

*Siedemdziesiąta pierwsza
publikacja wydawnictwa
JAMAKASZ*

*Pierwszy tom kolekcji
„Rocamboles”*

Tytuł oryginału francuskiego: *L'héritage mystérieux*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2019

24 ilustracje, w tym 22 karty tablicowe kolorowe: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019

ISBN 78-83-66268-22-7 (całość)

ISBN 978-83-66268-23-4 (część 1)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2019

Prolog



I

B było to w roku 1812. Wielka armia francuska wykonywała pamiętny odwrót, zostawiając poza sobą Moskwę i Kreml w płomieniach, a część swych batalionów w zlodowaciałych falach Berezyny.

Padął gęsty śnieg...

Ze wszystkich stron, jak sięgnąć wzrokiem, ziemia pokryta była białym całunem, a nad nią rozciągało się szare niebo.

Przez niezmierzone i puste równiny wlokły się szczątki tych dumnych legionów prowadzonych przez nowego Cezara¹ na podbicie świata, którego nie była w stanie pokonać zjednoczona Europa, a ponad którym zatriumfował w tej chwili jedyny straszny wróg, przed jakim był zmuszony się cofnąć. Było to zimno północy.

Tu można było zobaczyć gromadkę skostniałych w siodłach kawalerzystów, walczących rozpaczliwie przeciw napadom śmiertelnego snu, gdzie indziej kilku piechurów otaczało martwego konia, którego zamierzali poćwiartować, w czym wspierało ich stado żarłocznych kruków, wrywając strzępy mięsa ze zwierzęcia.

Dalej jakiś człowiek kładł się na śniegu z uporem obłąkanego i zasypiał z przeświadczeniem, że już się nie obudzi.

Od czasu do czasu dało się słyszeć oddalony huk rosyjskich dział. Wtedy maruderzy znowu ruszali w drogę, wiedzeni zachowawczym instynktem ocalenia życia.

W tej chwili na skraju małego lasu ukazało się trzech ludzi, a dokładniej – trzech jeźdźców, a zatrzymawszy się w około kupy

¹ Chodzi tu o Napoleona I Bonaparte; *Cezar* (Gajusz Juliusz Cezar, Caius Iulius Caesar, 100-44 p.n.e.) – rzymski wódz i polityk, twórca Cesarstwa Rzymskiego, zamordowany przez spiskowców.

gałęzi, po otrząśnięciu ich ze stwardniałego śniegu, usiłovali rozniecić ogień.

Konie i jeźdźcy otoczyli żarzące się ognisko. Żołnierze siedli z podłożonymi pod siebie nogami, natomiast wierzchowce stały z nisko opuszczonymi łbami i zgaszonym spojrzeniem.

Pierwszy z owych trzech żołnierzy miał na sobie łachmany, które pozostały z munduru, wraz z przywieszonymi do nich epoletami pułkownika. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Był człowiekiem wysokiego wzrostu, szlachetnej, pięknej postawy, a spojrzenie jego niebieskich oczu wyrażało jednocześnie dobroć i odwagę.

Prawą rękę trzymał na szarfię, a głowę miał obwiązaną zakrwawionymi bandażami. Nieprzyjacielska kula strzaskała mu łokieć, a cios, zadany pałaszem, przeciął czoło od jednej skroni do drugiej.

Drugi z tych trzech osobników mógł być kapitanem, jak można było ocenić z resztek podartego na strzępy munduru, ale w tej chwili nie było tu ani pułkowników, ani kapitanów, ani żołnierzy.

Wielka armia Napoleona nie była niczym innym jak smutną gromadą ludzi w łachmanach, uciekających zarówno przed lodowatym północnym wichrem, jak i przed hordami wroga znad Donu i Kaukazu, które rzuciły się za nimi w pościg jak stado wygłodzonych wilków czy drapieżnych ptaków.

Wspomniany wyżej kapitan był młodym mężczyzną o niskim czole, oliwkowej cerze i ruchliwym, niepewnym spojrzeniu. Czarne włosy zdradzały w nim południowca, a z przeciągłego akcentowania słów i żywości ruchów łatwo można było w nim odgadnąć jednego z tych Włochów, tak licznych we francuskiej armii za czasów Pierwszego Cesarstwa².

Kapitan, szczęśliwszy od swego pułkownika, nie został wcale ranny, na skutek czego łatwiej mu przychodziło znosić ataki straszliwego zimna pchające ku południu śmiałych legionistów Cezara.

² *Pierwsze Cesarstwo* – Francja w okresie panowania Napoleona I Bonaparte w latach 1804-1814 i 1815; w czasie największego rozwoju terytorialnego obejmowało rozmaite protektoraty i posiadało wiele państw zależnych; kres cesarstwu położyła abdykacja Napoleona na rzecz Napoleona II, ten jednak nie został dopuszczony do władzy, a tron zwrócono Burbonom.



Wreszcie trzeci z tej małej gromadki był żołnierzem, zwykłym huzarem³ gwardii, którego surowe męskie oblicze nabierało czasami dzikiego wyrazu, ilekroć dobiegł go z oddali huk rosyjskich dział, albo przeciwnie, gościł na nim niepokój, a spojrzenie stawało się nawet pieszczotliwe, gdy jego wzrok zatrzymywał się na swoim wyczerpanym i zakrwawionym młodym dowódcy.

Działo się to wieczorem. Zaczęła zapadać noc, a gęste mgły zmroku powoli łączyły białą ziemię z szarym niebem.

– Spędzimy tu noc, Felipone? – zapytał pułkownik włoskiego kapitana. – Czuję się mocno osłabiony i bardzo znużony – dodał. – Zranione ramię sprawia mi okropny ból.

– Panie pułkowniku, musimy koniecznie jechać dalej, gdyż mróz pana zabije! – zawołał żywo Bastien, ów huzar, zanim Włoch zdołał odpowiedzieć.

Pułkownik spojrzał kolejno na żołnierza i kapitana.

– Tak sądzisz? – rzekł.

– Tak, tak! – powtórzył huzar z żywością człowieka pewnego swych racji.

Jeśli chodzi o kapitana, to ten wydawał się namyślać.

– No i jak, Felipone? – nalegał pułkownik.

– Bastien ma rację – odparł kapitan. – Trzeba wsiąść na konie i jechać tak daleko, jak to tylko będzie możliwe. Tu zaraz zaśniemy, a podczas tego czasu ognisko wygaśnie i żaden z nas już się nie obudzi... Zresztą, posłuchaj. Zbliżają się Rosjanie... Słyszę huk armat!

– Och, jakie nieszczęście! – szepnął pułkownik głuchym głosem. – Któżby kiedy pomyślał, że będziemy zmuszeni uciekać przed garstką Kozaków...! Ach, zimno... to zimno... jakież to zawzięty i straszny wróg! Mój Boże! Gdyby jednak tylko to zimno nas nękało...!

To mówiąc, przysiadł koło ogniska, usiłując rozgrzać przy nim swe skostniałe członki.

³ *Huzarzy* – lekka jazda węgierska, powstała w XVI wieku z chorągwi raców po odrzuceniu kopii i tarcz; charakterystycznym ubiorem huzarów była zarzucona na ramię kurtka, zwana dolmanem; huzarzy w XVIII wieku stanowili znaczną część lekkiej kawalerii; w Polsce w okresie Księstwa Warszawskiego istniały dwa pułki huzarów (10 i 13) biorące udział w kampaniach w 1812 i 1813 roku.



- Do kroćset piorunów! - mruzczał huzar Bastien. - Nigdy bym nie uwierzył, że mój pułkownik, ten odważny lew... da się pokonać przez taki nędzny podmuch wiatru świszczący ponad zlodowaciałym śniegiem!

Mówiąc to całkiem cichutko, patrzył jednocześnie na swego dowódcę wzrokiem pełnym miłości i poszanowania.

Oblicze oficera stało się sine, co wskazywało na straszne cierpienie. Trząśł się i drżał z zimna na całym ciele, a jego życie, jak się wydawało, skoncentrowało się w oczach, ponieważ tylko wzrok zachował całą jego łagodność i dumę.

- No cóż - rzekł po chwili - odjeżdżajmy, skoro tego chcecie, jednak pozwólcie mi jeszcze trochę się ogrzać. Jakież straszne zimno...! Cierpię, jak nigdy w życiu nie cierpiałem. Umieram z senności...! Mój Boże, gdybym mógł się przespać przez godzinę, nie więcej, jak tylko jedną godzinę...!

Kapitan i huzar porozumieli się spojrzeniami.

- Jeśli on zaśnie - mruknął Felipone - nie zdołamy go już rozbudzić i wsadzić na siodło.

- A więc - rzekł odważny Bastien, nachylając się do ucha kapitana - będę go niósł uśpionego. Jestem bardzo silny, a dla ocalenia mego pułkownika... och, stanę się Herkulesem!

Kapitan z głową odchyloną do tyłu zdawał się nadśłuchiwać odległych hałasów.

- Rosjanie są od nas jakieś trzy ligi⁴ - odezwał się w końcu. - Noc zapada i bez wątpienia rozłożą się obozem, zanim zbliżą się ku nam. Skoro pułkownik pragnie się przespać, pozwólmy mu to uczynić, a my będziemy czuwali.

Pułkownik, usłyszawszy ostatnie słowa, podał rękę Włochowi.

- Dzięki ci, Felipone - powiedział. - Dzięki, przyjacielu! Ty jesteś dobry, odważny i nie pozwolisz łatwo pokonać się temu wścieklemu północnemu wichrowi. Och, co za ziąb!

Ostatnie wyrazy pułkownik wymówił z pewnym przestraczem.

- Ponieważ ja nie jestem ranny - odparł Włoch - to zupełnie oczywiste, że mniej cierpię od ciebie.

⁴ *Liga* - tu: liga łądowa, nieużywana jednostka długości równa trzem milom łądowym (4828 m).



– Przyjacielu! – mówił dalej pułkownik do Włocha, podczas gdy huzar rzucał do ogniska wszystko to, co wyszukał w zaroślach, i suche gałęzie, które znalazł pod ręką. – Mam trzydzieści pięć lat. Żołnierzem zostałem w szesnastym roku życia. W wieku trzydziestu lat mianowano mnie pułkownikiem, co świadczy o tym, że musiałem być cierpliwy i dzielny. Otóż moja energia, moja odwaga, wszystko, aż do obojętności, z jaką przyjmowałem rozliczne zmęczenia i trudy w naszym twardym rzemiośle, wszystko to dziś znika wobec śmiertelnego wroga, nazywanego zimnem północy. Jest mi strasznie zimno...! Rozumiesz? We Włoszech spędziłem trzysta godzin na polu bitwy pod kupą trupów, z głową we krwi, a nogami w błocie. W Hiszpanii przy oblężeniu Saragossy⁵ szedłem do szturmów z dwiema kulami w piersiach. Pod Wagram⁶ pozostawałem na koniu cały dzień, z udem przebitym pchnięciem bagnetu. Tymczasem dzisiaj stałem się jedynie ciałem bez ducha, na wpół martwym człowiekiem... podłym, uciekającym przed wrogiem! Przed Kozakami...! A wszystko to z powodu tego straszliwego zimna...!

– Armandzie... Armandzie, odwagi! – rzekł kapitan. – Nie na zawsze pozostaniemy w Rosji, wrócimy do cieplejszego klimatu... znowu ujrzymy słońce, a wtedy triumfalnie wyjdiesz ze swego odrętwienia...

Pułkownik Armand de Kergaz, gdyż tak się nazywał, potrząsnął smutno głową.

– Nie – odparł – ja już nie ujrzę ani słońca, ani mojej Francji. Jeszcze kilka godzin tego przejmującego zimna i będę martwy!

– Armandzie! Panie pułkowniku! – zawołali prawie równocześnie kapitan i huzar.

– Ginę z zimna! – szepnął pułkownik ze smutnym uśmiechem. – Umieram z braku snu i zimna.

⁵ *Oblężenie Saragossy* – starcie zbrojne w czasie wojny w Hiszpanii; armia francuska pod dowództwem generała Lefebvre okrążyła i wielokrotnie szturmowała Saragossę latem 1808 roku, by po dwóch miesiącach odstąpić od niej i zdobyć ją dopiero w wyniku drugiego oblężenia na przełomie 1808 i 1809 roku.

⁶ *Wagram* – miejsce jednej z największych zwycięskich bitew w kampaniach napoleońskich, która miała miejsce w dniach 5-6 lipca 1809 roku wokół wyspy Lobau na Dunaju i w pobliżu wsi Wagram, 15 km na północny wschód od Wiednia; wojska francuskie pod dowództwem cesarza Napoleona Bonaparte pokonały wtedy wojska austriackie dowodzone przez arcyksięcia Karola Ludwika; kluczową rolę w batalii odegrała artyleria.



Pochyliwszy głowę na piersi, będąc w tym nieprzewyciężonym odrętwieniu, jakie odebrało życie tylu szlachetnym sercom w tym żalonym odwrocie z Rosji, nagle się otrząsnął, a zebrawszy wszystkie siły, podniósł głowę.

– Nie, nie...! Ja nie mogę w tej chwili spać... Trzeba pomyśleć o tych, których tam, daleko, pozostawiłem! – zawołał, a jego spojrzenie skierowało się na tę stronę horyzontu, gdzie leżała Francja.

– Armandzie! Armandzie! – zawołał kapitan. – Nigdy nie mów czegoś podobnego. Będziesz żył!

– Przyjaciele – dodał, zwróciwszy się do wiernego i oddanego żołnierza oraz kapitana – bez wątpienia obaj mnie przeżyjecie i zachowacie o mnie życzliwe wspomnienie. Zatem posłuchajcie mnie, gdyż przekazuję wam mą ostatnią wolę: powierzam waszej opiece moją żonę i dziecko...

Wyciągnął powtórnie rękę do kapitana Felipone i kontynuował:

– Zostawiłem tam, w naszej ukochanej Francji, dziewiętnastoletnią żonę i mające przyjść na świat niemowlę. Może wkrótce żona zostanie wdową, a dziecię sierotą...

– Armandzie! Armandzie! – zawołał kapitan. – Nigdy nie mów czegoś podobnego. Będziesz żył!

– Och, jakże chciałbym żyć! – szepnął pułkownik. – Życ... i ponownie zobaczyć ich oboje!

Kiedy tak mówił o nadziei i gorącej miłości, jego oczy nabrały blasku.

– Jednak – dodał ze smutnym uśmiechem – mogę także umrzeć, a wtedy wdowa z sierotą będą potrzebowały opiekunów.

– Ach, pułkowniku! – wykrzyknął Bastien. – Dobrze wiesz, że gdyby cię spotkało nieszczęście, pański huzar oddałby swoje życie, sekunda po sekundzie, oraz krew do ostatniej kropli dla twojej żony i dziecka!

– Dziękuję ci! – powiedział pułkownik. – Liczę na ciebie.

Następnie spojrział na Włocha.

– A ty, mój stary towarzyszu, mój przyjacielu, mój bracie...? – zapytał.

Kapitan drgnął, a jego czoło zasnuła ponura chmura. Można byłoby sądzić, iż ostatnie słowa pułkownika wywołały w nim jakieś odległe przykre wspomnienia.

– Dobrze powiedziałaś, Armandzie – odrzekł – bo czy nie jestem twym starym towarzyszem, przyjacielem, bratem?

– A więc, gdybym umarł – mówił dalej pułkownik – będziesz oparciem dla mojej żony, ojcem dla mego dziecka?

Po tym zapytaniu twarz kapitana okryła się żywym rumieńcem, czego jednak pan de Kergaz nie dostrzegł i mówił dalej:

– Wiem, że kochałaś Helenę, a ty również dobrze wiesz, że pozostawiliśmy jej wolny wybór pomiędzy nami dwoma. Szczęśliwszy od ciebie, zostałem wybrańcem jej serca i jestem ci wdzięczny, że przyjmąwszy ową ofiarę, nie przestałaś być przyjacielem swego rywala.

Kapitan słuchał ze spuszczonej wrokiem. Matową błądzą jego twarzy pokrył chwilowy rumieniec i gdyby rozmawiający z nim posiadał więcej zimnej krwi i nie był dręczony moralnym i fizycznym cierpieniem, wówczas zrozumiałby, jaka straszna walka wrzała w sercu Włocha, torturowanego owymi wspomnieniami.

– Gdybym umarł – kończył pułkownik – ty ją poślubisz... Trzymaj...

Przy ostatnim słowie pułkownik rozpiął mundur i podał Felipone'owi opieczętowany pakiet.

– Oto mój testament – powiedział. – Napisałem go na początku naszej nieszczęśliwej kampanii, miotany dziwnymi przecuciami. Na mocy tego testamentu, mój przyjacielu, przeznaczam ci połowę majątku, jeśli zgodzisz się poślubić pozostałą po mnie wdowę...

Z bladego kapitan stał się zupełnie siny, a całym jego ciałem wstrząsało nerwowe drżenie. Wyciągnął w stronę testamentu konwulsyjnie drgającą rękę.

– Bądź spokojny, Armandzie – wyszeptał głuchym głosem. – Gdyby przytrafiło ci się nieszczęście, posłucham cię... Ale ty będziesz żył – dodał – zobaczysz swoją Helenę, w stosunku do której obecnie odczuwam tylko żywą i pełną szacunku przyjaźń.

– Jakże mi zimno! – powtórzył pułkownik z przekonaniem człowieka przezuwającego swoją bliską śmierć.

Ponownie opuścił głowę na piersi, a sen chwycił go z nieprzepartą siłą.

– Zostawmy go, niech się prześpi przez parę godzin – powiedział kapitan do Bastiena – a my będziemy czuwali.



- Łajdacki północny wiatr! - mrucał z gniewem huzar, pomagając Felipone'owi w ułożeniu pułkownika w pobliżu ogniska i przykrywając go szczątkami ubrań i koców, jakie jeszcze posiadali.

Pięć minut później pułkownik Armand de Kergaz spał głębokim snem. Bastien z utkwionym w niego wzrokiem, z pieszczołliwą nieruchomością wiernego psa bezustannie podsyczał ogień i pilnował, aby najmniejsza iskierka, żaden gorący węgielek nie upadły na jego uspio-nego dowódcę.

Co do kapitana, ten siedział z głową ukrytą w dłoniach, a w jego mózgu widocznie przebiegało tysiące pomieszanych myśli.

Ów człowiek, którego pułkownik darzył tak gorącą przyjaźnią, posiadał wszelkie ułomności zwyrodniałych istot. Mściwy i żądny pieniędzy, w postępowaniu ze wszystkimi był usłużny i przymilny. Żołnierz bez majątku posiadał sztukę zawiązywania stosunków z bogatymi i utytułowanymi oficerami armii. Nie posiadał ani obola⁷, a jedynie przyjaciół milionerów.

W otrzymaniu rangi kapitana pomógł mu bardziej zbieg okoliczności, i to w czasie, gdy śmierć zbierała obfite żniwo pośród oficerów, niż własne męstwo.

Brał czynny udział w kilku bitwach, nigdy jednakże nie widziano, by się odznaczył walecznością. Być może nie był tchórzem, ale na pewno nie był odważnym człowiekiem, posuwającym się do zuchwałości.

Felipone zawarł przyjaźń z pułkownikiem de Kergaz przed piętnastu laty. Obaj wówczas byli kapitanami. Trzy lata temu poznali w Paryżu pannę Helenę Durand, córkę dostarczyciela żywności dla armii, piękną i młodą dziewczynę, którą obaj pokochali. Helena wybrała pułkownika.

Od tego dnia Felipone zaprzysiął rywalowi zemstę, zemstę podsycaną nienawiścią, jaka jedynie może zakiełkować w sercu połodniowca, tę zemstę skupioną w sobie i niemą, ukrytą na zewnątrz pod oznakami najszczerzej przyjaźni, jednakże nieubłaganą, śmiertelną zemstę, gotową wybuchnąć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Podczas kampanii w chwili zamieszania ze dwadzieścia razy Felipone ukryty w cieniu i dymie bitwy, brał na cel pułkownika. Ze

⁷ *Obol* (gr.) - drobna moneta w starożytnej Grecji, jedna szóstka drachmy.



dwadzieścia razy zawahał się, szukając pełniejszego i okrutniejszego odwetu niż takie zwykłe zabójstwo.

Otóż ten Włoch odnalazł nareszcie odpowiedni moment do zrealizowania takiej zemsty; kalkulował ją na zimno i o niej rozmyślał, podczas gdy pułkownik spał pod czujnym spojrzeniem Bastiena.

„Wariat! – myślał Felipone, rzucając od czasu do czasu ponure wejrzenie na uśpionego oficera.– Wariat! Jednocześnie daje mi małą łaskę, mnie, który jestem biedny, i swoją żonę, mnie, którego ona odepchnęła... Trudno byłoby odnaleźć bardziej wymowny wyrok na własną śmierć!”

Na sekundę spojrzenie kapitana spoczęło na Bastienie.

– Ten człowiek mi przeszkadza – wyszeptał. – Tym gorzej dla niego! Podniósł się z ziemi i zbliżył do swego konia.

– Co robisz, kapitanie? – zapytał huzar.

– Chcę sprawdzić kapiszony⁸ moich pistoletów...

– Ach, tak! – rzekł Bastien.

– Pośród takiego diabelskiego śniegu – mówił dalej spokojnie kapitan – nie ma się co dziwić, że panewki⁹ mogły zawilgotnieć, a gdyby pojawili się Kozacy...

Mówiąc to, Felipone sięgnął do olster¹⁰, wyciągnął z nich jeden z pistoletów i niedbale zaczął bawić się pokrywą panewki.

Bastien patrzył na to spokojnie, bez żadnej podejrzliwości.

– Proch jest suchy, a krzemień w dobrym stanie. Zobaczmy drugi – stwierdził kapitan i wzięwszy drugi pistolet, zaczął oglądać go z taką samą starannością.

– Ach! – mruknął Bastien z roztargnieniem, całkowicie oddany czuwaniu przy dowódcy.

⁸ *Kapiszon* – w dawnej broni strzeleckiej rodzaj spłonki w formie miedzianej lub mosiężnej miseczki lub kapelusika, posiadającej wewnątrz warstwę piorunianu rtęci.

⁹ *Panewka* – część dawnej broni palnej – zagłębienie w górnej części lufy, później „półka” umieszczona z boku lufy, połączona z zapalą (otworem prowadzącym do lufy); na panewkę sypano proch, który po zapaleniu przenosił ogień przez zapal do ładunku miotającego w lufie, powodując odpalenie.

¹⁰ *Olstro* – skórzany futerał na pistolet kawalerzysty przytroczony do przedniej części siodła, używany od XVI wieku; standardowo do siodła przytraczano dwa olstra (po obu bokach konia), stąd od XVII wieku używano częściej pluralnej formy „olstra”; jeżeli jeździec miał jeden pistolet, drugie olstro używane było do przewożenia drobnych przedmiotów.



- Czy wiesz, że posiadam zadziwiającą wprawę w strzelaniu z tej broni? - zapytał nagle, spoglądając na huzara.

- To bardzo prawdopodobne, kapitanie.

- W pojedynku na trzydzieści kroków - mówił dalej Felipone spokojnym głosem - trafiłem mego przeciwnika wprost w serce i położyłem go trupem na miejscu.

- Ach! - mruknął Bastien z roztargnieniem, całkowicie oddany czuwaniu przy dowódcy.

- Co więcej - kontynuował Felipone - kilkakrotnie zakładałem się o to, że trafię w prawe lub lewe oko któregoś z moich przeciwników i zawsze taki zakład wygrywałem... Ale widzisz, przyjacielu Bastienie, najlepiej jest jednak mierzyć wprost w serce, wtedy bowiem na miejscu się zabija!

To powiedziawszy, kapitan pochylił lufę pistoletu.

- Co pan robi? - zawołał gwałtownie huzar, odskakując do tyłu.

- Mierzę prosto w serce - rzekł zimno Felipone, celując w żołnierza. - Nie chcę, żebyś cierpiał...

Padł strzał.

- Przeszkadzałeś mi, mój chłopcze. Tym gorzej dla ciebie!

Błyskawica rozświetliła ciemności, zagrzmiął huk, któremu towarzyszył okrzyk bólu i huzar padł na wznak.

Na ten hałas, na ten okrzyk, pan de Kergaz, nagle wyrwany ze swego letargicznego snu, uniósł się do połowy, sądząc, że ma do czynienia z Rosjanami.

Tymczasem Felipone, trzymając w ręku drugi pistolet, nie pozwolił mu powstać, opierając nagle kolano o jego pierś, i przewrócił go brutalnie na ziemię, gdzie go przytrzymał.

Wówczas pułkownik, zaskoczony tym nagłym napadem, ujrzał nad sobą drwiącą i wykrzywioną szatańskim uśmiechem twarz swego wroga, a ten uśmiech z szybkością błyskawicy odsłonił całą podłość, całe nikczemne okrucieństwo tego człowieka, w którego tak wierzył.

- Ha, ha! - sztychł Włoch. - Byłeś wielkim głupcem, pułkowniku Armandzie de Kergaz, wierząc w przyjaźń człowieka, któremu ukradłeś ukochaną przez niego kobietę... Byłeś głupi, wyobrażając sobie, że on kiedykolwiek może ci przebaczyć! Posunąłeś swoją głupotę i bezmyślność aż do napisania testamentu, błagając tego ukochanego przyjaciela, by poślubił wdowę po tobie i przyjął połowę twego majątku, po czym spokojnie



zasnąłeś, z nadzieją przebudzenia się wśród pomyślniejszych dni i połączenia się z żoną i dzieckiem, dwoma przedmiotami twojej gorącej miłości! Potrójny głupcze...! Wiedz jednak – kończył kapitan – że tak się nie stanie, że nigdy ich nie zobaczysz i uśniesz na wieki, mój drogi przyjacielu!

Powiedziawszy to, kapitan skierował lufę pistoletu w kierunku czoła Armanda de Kergaz, który wiedziony instynktem zachowawczym, usiłował się uwolnić z uścisku wroga i zepchnąć przytłaczające go kolano.

Felipone jednak silnie go przytrzymał i rzekł do niego:

– Daremne starania, panie pułkowniku, musisz tu pozostać.

– Nikczemniku! – wyszeptał Armand de Kergaz, którego spojrzenie pełne było pogardy.

– Bądź spokojny, Armandzie, twoje życzenie zostanie ściśle wypełnione: poślubię wdowę i będę nosił po tobie żałobę, a świat będzie mnie widział wiecznie cię oplakującego! Jestem człowiekiem przestrzegającym konwenansów¹¹.

Pistolet dotknął skroni pułkownika przytrzymanego nieruchomo na ziemi kolanem Włocha, który oddał strzał z tą samą zimną krwią, z jaką przed chwilą zabił wiernego huzara.

Kula roztrzaskała czaszkę pułkownika Armanda de Kergaz, a strzępy jego mózgu zbroczyły ręce mordercy.

Bastien leżał rozciągnięty obok w kałuży krwi, a świadkiem tej strasznej zbrodni był jedynie Bóg...

II

Upłynęły cztery lata od opisanych wcześniej wydarzeń. Nadszedł maj 1816 roku, w którym to czasie znajdujemy kapitana Felipone jako pułkownika i szczęśliwego małżonka Heleny de Kergaz.

Letnią porą pułkownik zamieszkiwał w zamku¹², w pięknej okolicy położonej w Bretanii, na krańcach Finistère¹³. Ta posiadłość

¹¹ *Konwenans* – obowiązująca w jakimś środowisku norma zachowania się w określonej sytuacji.

¹² *Zamek* – należy tu wyjaśnić, że we Francji posiadłości wiejskie niebędące budowlami obronnymi także nazywano zamkami (château), a podobne posiadłości w mieście – pałacami (palais).

¹³ *Finistère* – departament w północno-zachodniej Francji (Bretania) położony nad Atlantykiem.



ziemska nosiła nazwę Kerloven i należała do rodziny nieboszczyka Armada de Kergaz, który zostawił ją w spadku swojej żonie.

Zamek był zbudowany ponad brzegiem morza, na wierzchołku falezy¹⁴. Od strony lądu panował ponad piękną doliną bretońską, pokrytą różowymi wrzosami i otoczoną wielkimi lasami.

Trudno byłoby odnaleźć bardziej malowniczy, bardziej dziki i zarazem piękniejszy krajobraz niż to stare feudalne zamczysko, wewnątrz odnowione w nowoczesnym stylu, z zachowaniem na zewnątrz całej poezji jego starożytnej powierzchowności, a to dzięki olbrzymiej fortunie pułkownika Felipone.

Wielki park, zacieniony stuletnimi wiązami, otaczał zamek od wschodniej do zachodniej strony. Front zamku, chłostany falami morza, tego burzliwego szarego morza, jakie w przystępie gniewu nieustannie podgryza bretońskie wybrzeże, był miejscami u podstaw mocno powyszczerbiany.

Taras, którego pierwotna konstrukcja sięgała czasów wypraw krzyżowych¹⁵, ciągnął się z tej strony, od jednej wieży do drugiej. Pod nim, kilkaset stóp¹⁶ niżej, warczał stary ocean.

Pułkownik przybył do Kerloven w końcu kwietnia w towarzystwie swej żony spodziewającej się bliskich narodzin potomka, pierwszego owocu nowego małżeństwa, i z pięcioletnim synem, który nosił imię Armand, podobnie jak jego ojciec, nieszczęsny pułkownik huzarów, zamordowany, jak wiemy, przez Włocha.

Pułkownik Felipone za czasów Restauracji¹⁷ otrzymał tytuł hrabiowski, co sprawiło, że wdowa po panu de Kergaz, który był szlachcicem starej daty, zachowała tytuł hrabiny.

¹⁴ *Faleza* (klif) – urwisko brzegu morskiego powstające na wysokich wybrzeżach wskutek niszczącej działalności falowania wód.

¹⁵ *Wyprawy krzyżowe* (krucjaty) – średniowieczne religijnie sankcjonowane wyprawy zbrojne podejmowane przez państwa i rycerstwo katolickiej Europy. Wojny te były prowadzone przede wszystkim przeciw muzułmanom, ale także przeciw poganom, chrześcijańskim heretykom, a czasami przeciw katolikom.

¹⁶ *Stopa* – tu prawdopodobnie dawna francuska jednostka długości (*pied*) równa 32,48 cm.

¹⁷ *Restauracja* Burbonów – okres w historii Francji wyznaczony datami 1814-1830 (przerwany na 100 dni przez Napoleona w okresie od 20 marca do 22 czerwca 1815), od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej; okres formalnej monarchii parlamentarnej.





*Pistolet dotknął skroni pułkownika
przytrzymanego nieruchomo na ziemi kolanem Włocha.*

Hrabia, ponieważ tak od tej chwili będziemy nazywali Włocha, spędzał czas na polowaniach po okolicy, zawiązawszy przyjazne stosunki ze wszystkimi miejscowymi hreczkosiejami¹⁸.

Hrabina żyła w najzupełniejszej samotności.

Niewątpliwie ci, którzy widywali niegdyś na cesarskim dworze Napoleona wspaniałą i piękną Helenę de Kergaz, mieliby kłopot rozpoznać ją dziś w tej bladej i przywiędłej kobiecie o przygasłym spojrzeniu, smutnym, zrezygnowanym uśmiechu i powolnym chodzie.

Cztery lata wcześniej pani de Kergaz, którą od kilku miesięcy ogarniał śmiertelny niepokój o los swojego męża, ujrzała pewnego dnia wchodzącego do niej kapitana Felipone, całego ubranego na czarno.

Jak wiemy, kapitan kochał Helenę, ale jego miłość sprawiła jedynie to, że wzbudziła w młodej dziewczynie głęboką odrazę do tego człowieka, bowiem instynktownie odgadywała nikczemny, obłudny i przewrotny charakter mężczyzny.

Od chwili zamążpójścia bardzo często podczas rozmowy starała się otworzyć oczy pana de Kergaz co do jego przyjaźni z Włochem, jednak na nieszczęście pułkownik darzył go ślepym zaufaniem, czego nic nie było w stanie zmienić.

Na widok kapitana hrabina wydała okrzyk bólesci, odgadując nieszczęście.

Felipone powoli zbliżył się do niej, a ująwszy obie jej ręce w swoje, rzekł głosem doskonale udającym wzruszenie:

– Bóg srodze doświadcza nas, pani, bowiem tobie zabrał małżonka, a mnie najlepszego przyjaciela! Opłakujmy go razem...!

Kilka dni później nieszczęsna wdowa zapoznała się z testamentem małżonka, w którym zmarły błagał ją, szalenie!, by poślubiła tego, który miał się stać jego zabójcą, a tym sposobem, by on stał się ojcem dla jego dziecka.

Wstręt Heleny do kapitana był jednak tak wielki, że oburzywszy się na tę propozycję, wręcz odmówiła mu swej ręki.

Włoch był uległy i cierpliwy. Na wiadomość o życzeniu zmarłego przyjaciela okazał zdumienie, oznajmiając, iż nie czuje się godny, by zająć jego miejsce. Prosił jedynie usilnie o wyświadczenie mu

¹⁸ *Hreczkosiej* – daw.: gospodarz zasiedziały na roli.



skromnej łaski: chciałby być prostym protektorem, oddanym przyjacielem biednej wdowy, opiekunem młodego sieroty.

I przez trzy lata ten człowiek tak doskonale grał swą rolę, okazywał się tak kochający, tak dobry, tak pełny poświęcenia i tak bezinteresowny, że w końcu pozyskał życzliwość hrabiny, przekonanej, iż się pomyliła i zbyt surowo go osądziła.

Później nastąpiła zmiana w rządach Francji.

Pani de Kergaz pochodziła z mieszczańskiej rodziny, a do tego była wdową po oficerze z czasów cesarstwa. Już tym samym sięgnęła na siebie prześladowania. Bardziej niż kiedykolwiek rozumiała to straszliwe osamotnienie wdowy, która była matką i miała zapewnić przyszłość dla swojego syna.

Felipone wyrobił sobie stosunki u dworu, gdzie będąc dobrze widziany, mógł dużo uczynić dobrego dla przyszłości sieroty.

Właśnie to ostatnie przemyślenie zwyciężyło na jego korzyść w umyśle hrabiny. W końcu ustąpiła jego naleganiom i poślubiła Włocha.

Ale stała się rzecz bardzo dziwna: jeśli wcześniej nie chciała wiązać swego życia z tym człowiekiem, jej pierwotny wstręt, jaki w niej wzbudzał, zamiast wygasnąć, z całą siłą wybuchnął w jej sercu.

Pułkownik, osiągnąwszy swój cel, osądził, że nie ma żadnej potrzeby grać dalej roli uległego i cierpliwego męża. Jego wykrętne, chytra natura i dziki, mściwy charakter, do tej pory powstrzymywane, wybuchnęły z całą siłą. Postanowił zemścić się na swej żonie za pierwotnie doznaną wzdrgę z jej strony.

Wtedy to rozpoczęło się dla nieszczęśliwej kobiety życie pełne łez, w zupełnym osamotnieniu, w jakim ukrywają się niejednokrotnie tajemnice tyranii pożycia małżeńskiego. Felipone uśmiechał się mile do swojej żony pośród zebranych gości, a stawał się dla niej katem, gdy zostawali sami. Dla tej szlachetnej kobiety nędznik wymyślał niedające się nazwać tortury.

Swoją wściekłą nienawiść rozciągał także na dziecko, które przypominało mu pierwszego małżonka hrabiny, a gdy nieszczęśliwa kobieta miała zostać matką, Włoch śmiał zrobić taką oto haniebną kalkulację:

– Jeśli mały Armand umrze, to moje dziecko odziedziczy olbrzymi majątek... Jakże łatwo sprawić, by czteroletnie dziecko umarło...!



Rozważywszy dokładnie ten pomysł, hrabia Felipone przybył do Kerloven.

Hrabina, tonąc we łzach, spędzała czas w zamku w zupełnej samotności, oddana wyłącznie staraniom na rzecz swego maleńkiego syna, podczas gdy jej małżonek prowadził wesołe życie.

Pewnego wieczora – było to pod koniec maja – zostawiła małego Armanda bawiącego się na tarasie szlacheckiego dworu, a sama, przymuszona potrzebą modlitwy i skupienia się, jakiej doznają rozbite dusze, odeszła do swego pokoju, by tam klęknąć przed wielkim krucyfiksem z kości słoniowej stojącym u wezłowania jej łóżka.

Modliła się długo; zapadł zmierzch, a za nim przyszła noc ciemna, burzliwa, jaką tak często widzi się nad mglistymi wybrzeżami starej Armoryki¹⁹. Wicher od strony morza dął gwałtownie, miotane nim fale groźnie huczały u podstawy skalistych falez. W tej chwili hrabina, przypomniawszy sobie o swoim synu, ogarnięta trwogą, chciała wybiec z pokoju, by przywołać dziecko, gdy nagle w progu stanął jej mąż.

Cały dzień spędził w okolicznych lasach. Miał na sobie myśliwski strój i wydawało się, jak gdyby tylko co powrócił z łowów.

Na jego widok hrabina poczuła, jak wzrasta w niej ten nieokreślony niepokój, który ścisnął jej serce.

– Gdzie Armand? – zagadnęła żywo.

– Właśnie o to samo chciałem zapytać – odrzekł spokojnie hrabia – i jestem zdziwiony, że nie widzę go przy tobie.

Hrabina zadrżała na dźwięk tego obłudnego głosu, a ciężki, niewysłowny ból coraz silniej przytłaczał jej piersi.

– Armandzie...! Armandzie! – wołała hrabina, otworzywszy okno wychodzące na taras.

Dziecko nie odpowiadało.

– Armandzie...! Mój mały Armandzie! – powtarzała matka z rozpaczą.

Takie samo milczenie.

Lampa postawiona na gerydonie²⁰ bardzo słabo oświetlała ten obszerny pokój, w którym pozostawiono stare obicia i meble z czarnego

¹⁹ *Armoryka* – starożytna kraina obejmująca dzisiejszą Bretanię i część Normandii, zamieszkała przez plemiona celtyckie, podbita przez Juliusza Cezara w 57 roku p.n.e.

²⁰ *Gerydon* – dawny (XVIII-XIX wiek) mebel w kształcie trójnożnego ozdobnego stołka lub podstawy pod świecznik, wazę itp.



dębu nadające mu starodawny wygląd. Tymczasem na śniadą twarz Felipone'a padł promyk światła i hrabinie wydawało się, że okryta była siną bladeścią.

– Moje dziecko! – powtórzyła z przerażaniem. – Co zrobiłeś z moim dzieckiem?

– Ja? – odparł hrabia z lekkim drżeniem w głosie, co nie uszło uwadze zaniepokojonej matki. – Ależ ja nie widziałem twego dziecka, gdyż dopiero przed chwilą zsiadłem z konia.

Wymawiając ostatnie słowa, głos Włocha odzyskał swą zwykłą intonację i był zupełnie spokojny.

Zrozpaczona matka, ogarnięta najbardziej ponurymi myślami, wybiegła jednak na zewnątrz i wołała:

– Armandzie, Armandzie! Gdzie jesteś, Armandzie?!

III

Dwadzieścia minut wcześniej hrabia Felipone, wróciwszy z polowania, zsiadł z konia na dziedzińcu Kerloven.

Służba była nieliczna i składała się mniej więcej z dziesięciu ludzi, wliczając w to dojeżdźacza²¹ i dwóch psiarczyków²². Ci trzej przebywali akurat na dziedzińcu, zajmowali się psiarnią oraz stajnią, pozostali rozproszeni byli gdzieś w zamku.

Hrabia, wchodząc na główne schody dworu, nikogo nie spotkał po drodze i doszedł do początku długiej galerii opasującej pierwsze piętro budynku, prowadzącej na prawo i lewo do różnych apartamentów i łączącej się z tarasem oszklonymi drzwiami.

Taras był ulubionym miejscem przechadzek Włocha. Przychodził tu zwykle po śniadaniu lub po obiedzie wypalić cygaro i roz-targnionym oraz marzącym wzrokiem popatrzeć na morze.

Oszklone drzwi były uchylone, więc Felipone machinalnie wyszedł na patio.

W tym momencie prawie zapadła noc. Na horyzoncie prześlizgiwały się ostatnie promienie słońca, oddzielając najniższe chmury od ekstremalnie wzburzonych fal oceanu. Huk morza uderzającego

²¹ *Dojeżdźacz* – jeździec ścigający zwierzynę na polowaniu z chartami lub ogarami.

²² *Psiarczyk* – pomocnik dojeżdźacza i kotłowego pomagający w karmieniu psów.



o podnóże wysokiego urwiska dochodził aż do tarasu jako głuchy szmer.

Felipone zrobił kilka kroków i naraz się potknął. Jego stopa natknęła się na jakiś przedmiot, który przy kontakcie wydał suchy dźwięk. Był to drewniany konik, którym bawiło się dziecko.

Felipone zrobił jeszcze kilka kroków i przy ostatnich, zamierających blaskach wieczora, dostrzegł w kącie dziecko oparte o poręcz tarasu, zupełnie nieruchome.

Armand, zmęczony zabawą swoim drewnianym konikiem, przez chwilę siedział, chcąc odpocząć, a później ogarnął go sen, ten nieprzezwyciężony sen, który nagle ogarnia dzieci. Malec głęboko zasnął.

Hrabia na widok dziecka nagle się zatrzymał.

Przez cały dzień polował samotnie, a samotność bywa złą doradczynią ludzi snujących zbrodnicze myśli.

Przez pięć czy sześć godzin Felipone pędził na koniu pod zielonym listowiem rozległych lasów Bretanii, gdzie panuje głęboka cisza i całkowita samotność.

Odjechał daleko od polujących, przestał słyszeć szczekanie psów i powoli, pograżając się w nieokreślonych rozmyślaniach, puścił cugle i pozwolił prowadzić się koniowi.

Wówczas powróciła ta myśl, myśl paląca i uporczywa, która nACHodziła go od czasu, kiedy dowiedział się, że hrabina jest w ciąży.

„Mały Armand, jak wiadomo, będzie miał kiedyś dwadzieścia jeden lat i wtedy cały majątek ojca przejdzie w jego ręce. Gdyby umarł, dziedziczyłaby jego matka, a moje dziecko odziedziczy fortunę po swojej matce” – myślał.

Jeszcze raz Włoch pieścił to haniebne marzenie o śmierci dziecka. I oto po powrocie do domu pierwszą istotą, na jaką się natknął, było to dziecko, dziecko uśpione w osamotnionym miejscu, z dala od wszystkich, o nocnej porze, kiedy zbrodnicze myśli tak łatwo kiełkują w duszy podłego człowieka.

Hrabia nie budził dziecka, lecz wsparł się łokciem na poręcz tarasu i wychylił głowę.

Na dole, jakieś sto sążni²³ poniżej, huczały fale wzburzonego morza, okryte białą pianą. Te fale mogły posłużyć za trumnę.

²³ Sążeń (fr. *toise*) – jednostka długości stosowana dawniej w różnych krajach; we Francji 1 sążeń = 6 stóp (paryskich) = 1,95 m.



Felipone odwrócił się i obrzucił taras szybkim spojrzeniem.

Nie było na nim nikogo, a ciemność nocy zaczęła okrywać tę część zamku.

Dobiegał tutaj natężony huk morza, który zdawał się mówić do niego: „Ocean nie zwraca tego, co mu się powierzy”.

Piekielna myśl z szybkością błyskawicy przemknęła przez umysł mężczyzny. W jego serce wgrzyła się straszna pokusa.

– Tak mogłoby się zdarzyć – szepnął – że to ciekawskie dziecko, chcąc popatrzeć na morze, wdrapało się na poręcz mającą nie więcej niż trzy stopy wysokości, jak również i to byłoby możliwe, że nieprzezornie na niej usiadło, a usnąwszy tam, tak jak śpi teraz, straciło równowagę i spadło.

Po trupiobladych wargach Włocha przemknął ponury uśmiech.

– W takim razie – kończył – moje dziecko nie będzie miało już brata, a ja nie będę zobowiązany zdawać rachunku z opieki.

Wypowiadając ostatnie słowa, wychylił się powtórnie, spoglądając na morze.

Fale huczały głucho i wydawały się do niego mówić: „Daj nam to dziecko, które ci przeszkadza, my wiernie je przechowamy, a z zielonych wodorostów zrobimy mu piękny całun”.

Felipone po raz drugi rozejrzał się wokół siebie tym badawczym, nieufnym wzrokiem zbrodniarza obawiającego się, czy ktoś go nie śledzi. Cisza, ciemność i samotność mówiły mu: „Nikt cię nie zobaczy, nikt nie odważy się oskarżyć cię przed ludzką sprawiedliwością, że zamordowałaś to biedne dziecko!”.

Wówczas hrabia, ogarnięty obłędem, nie wahał się już dłużej.

Zrobił jeszcze jeden krok, wziął w ramiona uśpione dziecko i przerzucił maleńką istotę przez poręcz.

Dwie sekundy później głuchy odgłos dobiegający z głębin oceanu oznajmił mu, że fale przyjęły i pochłonęły swą zdobycz.

Dziecko, przebudziwszy się w próżni, nawet nie krzyknęło.

Przez kilka minut Filipone, pochwycony dziwną gorączką, stał nieruchomy w tym samym miejscu, w którym popełnił potworną zbrodnię. Następnie ogarnęła go trwoga i chciał uciekać, ale chwilę później wróciła mu zimna krew cechująca wielkich zbrodniarzy. Pojął, że uciekając, zdradziłby się. Wówczas jeszcze niepewnym,



chwiejnym krokiem, lecz ze spokojną twarzą opuścił taras i skierował się do mieszkania swej żony, pozwalając brzęczeć swoim ostrogom i głośno uderzając obcasami butów o kamienną posadzkę galerii.

IV

Hrabina wybiegła pospiesznie z pokoju, różnymi okrzykami przywołując syna, a za nią szedł jej mąż, okazując również oznaki żywego zaniepokojenia, ponieważ dziecko, skoro już dość się nabawiło, miało zwyczaj powracać do swej matki.

Krzyki hrabiny spowodowały, że w całym zamku powstało zamieszanie. Przybiegli służący. Żaden z nich jednak nie widział małego Armanda od chwili, gdy matka pozostawiła go na tarasie.

Przeszukano cały zamek, ogród, park, lecz nigdzie nie znaleziono dziecka.

Dwie godziny upłynęły na tych daremnych poszukiwaniach. Hrabina, mocno wzruszona, załamywała ręce z rozpacz, a jej płonące ogniem spojrzenie wydawało się chcieć sięgnąć do głębi duszy Felipe'ne'a, na którego spoglądała już jak na mordercę swego syna, niejako odgadując, co z nim uczynił.

Włoch jednak tak dobrze odgrywał najgłębszy smutek, w jego głosie i ruchach było tyle niemej rozpacz i zaskoczenia, że matka jeszcze jeden raz uwierzyła, iż może niesłusznie posłuchała tej nieprzewyciężonej odrazy, jaką odczuwała do swego męża, i oskarżyła go o zniknięcie syna.

Nagle przybiegł służący, trzymając w ręku kapelusik dziecka ozdobiony białym piórem, który spadł mu z główki na wybrzeże pod tarasem, kiedy spał.

– Ach! Nieszczęście! – zawołał Felipe'ne z akcentem rozpacz w głosie, który zmylił biedną matkę. – Widocznie wdrapał się na poręcz...

W chwili, gdy hrabina cofnęła się, przerażona tymi słowami i widokiem przedmiotu, który zdawał się potwierdzać tę straszliwą prawdę, na progu sali, w której znajdowali się małżonkowie, ukazał się jakiś nieznaną mężczyzna. Ujrawszy tego człowieka, hrabia Felipe'ne posiniał i zmarł, skamieniały.



V

Mężczyzną, który tak nagle się pojawił, był trzydziestosześcioletni mężczyzna, ubrany w długi niebieski surdut ozdobiony czerwoną wstążeczką w butonierce, jaki nosili wówczas żołnierze z czasów Pierwszego Cesarstwa, a za czasów Restauracji usunięci w cień.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, z ponurym ogniem błyszczącym w jego spojrzeniu, oświetlającym jego bladą, nacechowaną zgrozą i przerażeniem twarz.

Zrobił trzy kroki w stronę Felipone'a, który cofał się przerażony, i wyciągnawszy w jego kierunku rękę, zawołał:

– Morderca! Morderca...!

– Bastien! – szeptał Felipone, doznając zawrotów głowy.

– Tak! – powtórzył huzar, bo to właśnie był on. – Tak, Bastien, o którym sądziłeś, że go zamordowałeś, a który jednak żyje...! Bastien, którego Kozacy znaleźli leżącego w kałuży swej krwi godzinę po twojej podwójnej zbrodni i ucieczce i któremu uratowali życie... Bastien, przez cztery lata więzień Rosjan, wreszcie wolny, przybywa żądać od ciebie rachunku za przelaną krew pułkownika, jaką pokryte się twoje dłonie...!

Kiedy Felipone, porażony, cofał się ciągle przed tym strasznym zjawiskiem, Bastien, zwracając się do hrabiny, powiedział:

– Ten człowiek, proszę pani, ten nędznik zabił ci dziecię, tak jak zabił jego ojca.

Hrabina zrozumiała.

Wtedy to matka, wcześniej zrozpaczona i prawie oszalała, zmieniła się nagle w tygrysić względem mordercy swojego dziecka. Rzucała się w jego stronę, by rozedrzeć go swymi paznokciami, krzycząc:

– Morderco...! Zbrodniarzu...! Czeka cię szafot! Ja sama oddam cię w ręce kata!

A gdy ów nędznik ciągle się cofał, nieszczęsna kobieta, poczuwszy w swoim brzuchu nagły ruch, głośno krzyknęła i zatrzymała się, zbladła, zachwiała się, całkowicie załamana...

Człowiek, którego chciała oskarżyć przed sądem, którego pragnęła zawlec na stopnie szafotu, ów nędznik, ten nikczemnik był ojcem jej drugiego dziecka, jakie dawało oznaki życia w jej łonie.



VI

Pod koniec października 1840 roku, to znaczy dwadzieścia cztery lata po wyżej opisanych wypadkach, wieczorem ulicami Rzymu szedł mężczyzna, w którym po ubiorze i zachowaniu można było rozpoznać Francuza.

Minąwszy Tyber²⁴, lekkim i szybkim zwinnym krokiem dążył ku Trastevere²⁵. Ten człowiek był młody i mógł mieć jakieś dwadzieścia siedem lat. Oblicze jego cechowała męska uroda i odwaga. Czarne oczy błyszczały zarówno dumą, jak i tkliwością. Miał wysokie czoło, na którym zarysowywała się przedwczesna i głęboka fałda, wcale niebędąca zmarszczką, ale zdradzająca jakieś przedwczesne troski i tajemnicze smutki myśliciela i artysty, tę godną uwielbienia mieszaninę; krótko mówiąc tkwiącą w nim młodzieńczą energię i melancholię, co przyciągało ciekawość, uwagę i tajony podziw trastewerank, tych kobiet rzymskiego ludu, znanych z piękności i cnoty.

Tymczasem zapadał zmierzch, ale nie była to jeszcze noc. Ostatnie blaski słońca, gasnąc w falach Tybru, ślizgały się po wierzchołkach budowli Wiecznego Miasta, oblewając purpurowymi i złocistymi refleksami pałace i witraże kościołów.

Ciepłe i łagodne powietrze wyciągnęło trasteweranów przed drzwi ich mieszkań. Kobiety przędły na wrzecionach, na ulicach bawiły się dzieci, mężczyźni w powągą palili tytoń, słuchając piosenki dochodzącej z Błot Pontyjskich²⁶, mimowolnie przekazywanej z ust do ust, z przyjaznym wietrzykiem docierając do artysty, który w tym

²⁴ *Tyber* (Tevere, rzym. Tiberis) – rzeka w środkowej części Włoch, najdłuższa na Płw. Apenińskim (405 km); uchodzi do Morza Tyrreńskiego.

²⁵ *Trastevere* – włoska nazwa Zatybrza, dzielnicy Rzymu położonej na prawym brzegu Tybru, na równinie zalewowej u stóp Janikulum, połączonej z miastem stałymi mostami; miejsce licznych ogrodów.

²⁶ *Błota Pontyjskie* (właśc. Pola Pontyjskie, wł. Agro Pontino, łac. Paludes Pontinae) – region w środkowych Włoszech, równina rozciągająca się pomiędzy Morzem Tyrreńskim na południowym zachodzie i przedgórzem Apeninów (Monti Lepini i Monti Ausoni) na wschodzie; od północy ogranicza ją środkowy bieg rzeki Astury i Góry Albańskie; Błota Pontyjskie obejmowały teren ok. 775 km²; w starożytności przez Pola Pontyjskie przechodziła Via Appia; tereny te były do XX wieku pokryte malarycznymi bagnami i już w II wieku p.n.e. podejmowano próby ich osuszenia, lecz udało się to dopiero rządowi włoskiemu w latach 20. XX wieku.



momencie podnosił z ziemi kilka *baiocchi*²⁷ na wąskiej i krętej uliczce, na którą wcześniej wkroczył bohater.

Na tej uliczce wznosił się mały domek o ujmującym wyglądzie, dachu w kształcie tarasu, po ścianach którego wspinał się bluszcz irlandzki²⁸, a jego zielone gałązki u dołu przeplatały się z winoroślą, gdzie złościły się dojrzewające już winogrona.

W tym domku, szczelnie zamkniętym od strony ulicy, panowała głęboka cisza. Najmniejszy szmer dosłyszeć się nie dawał poza opuszczonymi na stałe żaluzjami, tak na parterze, jak i na pierwszym piętrze. Można było sądzić, że był niezamieszkały.

Młody Francuz zatrzymał się przed drzwiami, wyciągnął z kieszeni klucz, przy pomocy którego otworzył je i wszedł do domku. Mały przedsiónek, wykładany białym i różowym marmurem, wiódł na kręte schody, po których przybysz wspiął się zwinnie.

– Gdzie jest Fornarina? – zapytywał siebie, kierując się na pierwsze piętro domu. – Pomimo moich nakazów, ciągle opuszcza swoją panią. Mam w niej smoka strzegącego skarbu... bezcennego skarbu!

Zapukał dyskretnie do małych drzwiczek wychodzących na podest schodów.

– Proszę wejść! – rozległ się z wnętrza łagodny głos kobiety.

Przybysz pchnął drzwi i znalazł się w ładnym buduarze²⁹ wyłożonym perską materią o perłowym tle, umeblowanym sprzączkami z różanego drzewa, zapełnionym skrzyneczkami z kwiatami wydzielającymi przenikliwe wonie.

²⁷ *Baiocco* – średniowieczna moneta wprowadzona za czasów Merowingów, pierwotnie srebrna, w 1725 roku papież Benedykt XIII zmienił ją na miedzianą; późniejsze znaczenie tego słowa to „mała moneta”.

²⁸ *Bluszcz irlandzki* (bluszcz atlantycki, *Hedera hibernica*) – tetrapoidalna forma bluszczu zwykłego; zimozielona roślina pnąca, osiągająca 20-30 m wysokości, na odpowiednich powierzchniach (drzewa, klify, ściany), rosnąca także pokrywowo, gdy nie ma pionowych powierzchni; wspina się za pomocą korzeni powietrznych, które przywierają do podłoża; pochodzi z regionu atlantyckiego, jest hodowana i występuje w stanie dzikim poza swoim pierwotnym obszarem, wzdłuż wybrzeża Atlantyku z Portugalii, Hiszpanii, Francji, Irlandii, Wysp Brytyjskich, Niemiec, krajów skandynawskich i Morza Bałtyckiego.

²⁹ *Buduar* (fr. *boudoir*) – wytwornie umeblowany i wykwintnie ozdobiony niewielki pokój zajmowany przez panią domu, umieszczony był zazwyczaj między salonem a sypialnią; pełnił rolę gotowni i miejsca wypoczynku pani domu; pierwsze buduary powstały we francuskich pałacach w XVIII wieku.



W głębi tego buduaru na tureckiej otomanie na wpeł rozciągnięta leżała czarująca istota, przed którą młodzieniec stanął jak porażony, mimo że widział ją już nie po raz pierwszy.

Była to kobieta mogąca mieć około dwudziestu dwóch lat, drobna i delikatna, o jasnej, nieco bladej cerze, z blond włosami mającymi lekko popielaty odcień i o błękitnych oczach. Można by powiedzieć, że to kwiat rozwinięty gdzieś przy słońcu północy, przeniesiony chwilowo pod gorące włoskie niebo.

Piękność tej młodej kobiety była wprost zdumiewająca i ci z mieszkańców Zatybrza, którzy dostrzegli ją poza uniesionymi żaluzjami w zmierzchu wieczora lub przy porannych brzaskach dnia, stawali oniemieli z zachwytu.

Na widok wchodzącego Francuza młoda kobieta zerwała się z okrzykiem radości.

– Ach! – zawołała. – Jakże czekałam na ciebie, Armandzie! Wydaje mi się, że spóźniłeś się dziś bardziej niż zwykle.

– Wyszedłem z mojej pracowni o tej samej godzinie – odpowiedział – i byłbym wcześniej przyszedł do ciebie, kochana Marthe, gdybym nie musiał przyjąć kardynała Stenio Landy’ego, który chciał nabyć posąg. Kardynał pozostał u mnie przez kilka godzin, ale jest to prawdziwy znawca sztuki rzeźbiarskiej. – Lecz – dodał – wydajesz mi się, Marthe, bardziej blada i smutna, jak gdyby zatruwiona...

Lekko zadrżała i zapytała:

– Tak sądzisz?

– Tak – odrzekł, siadając obok niej i ujmując obie jej dłonie, ścisnął je z uczuciem miłości i szacunku. – Ogarnia cię jakiś nieznany mi strach, moja biedna Marthe. Bałaś się... Coś ci się przydarzyło... Powiedz mi, proszę, odpowiedz na pytanie!

– No cóż, masz rację, Armandzie! – odrzekła z wysiłkiem. – Boję się... i dlatego z niecierpliwością na ciebie czekałam.

– Czego się obawiasz?

– Posłuchaj! Musimy opuścić Rzym... to konieczne! – zawołała żywo. – Na próżno starałeś się mnie ukryć na tym odludnym przedmieściu wielkiego miasta, gdzie żaden z cudzoziemców nie ośmielił się ukazać... Na próżno sądziłeś, że tu uniknę prześladowań mego



złego ducha, który ściga mnie tak tu, jak we Florencji, jak i gdzie indziej. Trzeba wyjechać!

Kiedy tak mówiła, śmiertelna bladość pokryła twarz młodej kobiety.

- Gdzie jest Fornarina? - zapytał żywo rzeźbiarz.

- Właśnie posłałam ją, by cię odszukała. Ona poszła główną ulicą, ty zaułkiem i dlatego się minęliście.

- Umieściłem ją przy tobie z zaleceniem, aby na chwilę cię nie odstępować, kochany aniele - odrzekł artysta. - Kto wie, czy ta kobieta...

- Och, Armandzie, nie oceniaj jej tak źle! Fornarina raczej by umarła, niż miałaby mnie zdradzić!

Armand zerwał się na nogi i zaczął spacerować w tę i z powrotem nierównym i gwałtownym krokiem, w którym objawiało się jego wzburzenie.

- Ależ powiedz wreszcie, co ci się przydarzyło...? - wykrzyknął. - Co zobaczyłaś, moja kochana, że chcesz zaraz wyjechać?

- Widziałam go!

- Kogo?

- Jego...!

Marthe podeszła do okna i przez uniesione żaluzje wskazała rękę pewne miejsce na ulicy.

- Tam! - rzekła. - Wczoraj wieczorem, o dziesiątej, zaraz po twoim odejściu... Stał, skulony przy narożniku tej bramy, a jego ogniste spojrzenie zwrócone było na moje mieszkanie. Można by powiedzieć, że on mnie widzi, choć tu było zupełnie ciemno, podczas gdy on sam był widoczny przy świetle księżyca. Cofnąm się, przerażona... i sądzę, że wydałam okrzyk, po czym zdusiłam go w sobie... Ech! Tak wiele wycierpiałam...

Armand podszedł do Marthe, usadził ją na otomanie, ujął obie jej ręce w swoje dłonie i klęknął przed nią.

- Marthe, zechcesz mnie wysłuchać? - powiedział. - Zechcesz mi zaufać jak ojcu, jak staremu i wypróbowanemu przyjacielowi, jak samemu Bogu?

- Och, tak! - odparła. - Mów, opiekuj się mną, broń mnie... bo ja nikogo prócz ciebie nie mam już na tym świecie...

- Spotkałem cię - mówił dalej artysta - przed sześcioma miesiącami klęczącą i płaczącą o północy na zewnętrznych schodach



kościola, tak zrozpaczoną i tak piękną w tym momencie, iż wydawało mi się, że ujrzałem niebiańskiego anioła bolejącego nad utratą ziemskiej duszy, powierzonej jego opiece, którą porwał mu piekło. Płakałaś wtedy, Marthe, płakałaś rzewnie i prosiłaś Boga o zesłanie ci śmierci, która pozwoliłaby ci wrócić do niego. Zbliżyłem się, a ująwszy twą rękę, wyszeptalem ci do ucha kilka słów nadziei. Nie wiem, czy mój głos wydawał ci się przekonujący i czy trafił do twojej duszy, ale nagle podniosłaś się i wsparłaś się na moim ramieniu jak na ramieniu opiekuna. Chciałaś umrzeć, a ja cię uratowałem, mówiłaś o utracie nadziei, a ja dałem ci taką nadzieję. Twoje serce było obtłuczone, a ja spróbowałem je uzdrowić. Od tamtego dnia, kochana, jestem najszcześliwszym z ludzi, a może ty mnie cierpiełaś, prawda?

– Tak, Armandzie, jesteś szlachetny oraz dobry – szepnęła młoda kobieta – i ja cię kocham!

– Niestety! – odrzekł Francuz. – Jestem biednym artystą bez nazwiska i może bez ojczyzny, ponieważ kiedy miałem pięć lat, znaleziono mnie na pełnym morzu, uczeponego kawałka deski z rozbitego statku. Mimo tak młodego wieku, dzielnie walczyłem ze śmiercią. Nie posiadam innego bogactwa jak tylko moje dłuto i innej przyszłości niż zdobycie odrobiny sławy, jednak od kiedy cię zobaczyłem, to pragnę, byś została moją żoną, może już w najbliższym czasie, i dobrze będę wiedział, jak cię bronić i sprawić, by wszyscy na ziemi cię respektowali. Aby cię skutecznie bronić – ciągnął młodzieniec po dłuższej chwili milczenia, kiedy to Marthe spuściła wzrok – czyż nie muszę jednak poznać twojej tajemnicy? Czy teraz powiesz mi jeszcze, jak w Wiedniu i we Florencji: „Jedźmy! Jedźmy... ale już mnie nie wypytuj...”? Kim jest zatem ten straszliwy i przekłety człowiek, który nieustannie cię ściga? Czy uważasz, że nie jestem dość silny, dość odważny, by cię bronić?

Marthe była blada, drżała na całym ciele, wzrok wbiła w podłogę.

– Niechże się dowiem – kontynuował Armand smutnym, a zarazem łagodnym i pełnym pieśczoły głosem – niech poznam, ukochana, twoją przeszłość, której wspomnienie tak cię zadręcza. Czy sądzisz, że potem moja miłość do ciebie mogłaby ustać...?

Młoda kobieta dumnie podniosła głowę.



– Och! – rzekła. – Dopóki miłość nie będzie uważana za zbrodnię, dopóty za moją przeszłość nie będę zmuszona się rumienić. Pokochałam gorąco, świątobliwie, z całą łatwowiernością moich osiemnastu lat, człowieka o czartowskim uśmiechu, o haniebnym sercu, o nikczemnej i podłej duszy, którego uważałam za uczciwego i dobrego. Ten człowiek mnie uwiódł, wyrwał z ojcowskiego domu, a potem stał się dla mnie katem. Bóg mi jednak świadkiem, że w dniu, w którym się na nim poznałam, uciekłam od niego.

Armand ponownie ukląkł przed dziewczyną.

– Opowiedz mi wszystko... – szepnął. – Opowiedz mi, a ja cię obronię i zabiję tego nędznika!

– Dobrze, zatem posłuchaj – odparła i ze spojrzeniem pełnym zaufania, napelnionym miłością i dumną odwagą, jakim ogarnęła francuskiego artystę, zaczęła mówić:

– Urodziłam się w Blois³⁰, w tym dobrym i starym mieście z porośniętymi mchem wieżami zamku i pagórkami porośniętymi winoroślą. Ojciec mój był poważanym kupcem, matka pochodziła z drobnej prowincjonalnej szlachty.

Straciłam matkę w dziesiątym roku życia i aż do siedemnastego roku życia byłam zamknięta w klasztorze w Tours³¹. Właśnie po opuszczeniu klasztoru spotkałam mego uwodziciela. Ojciec porzucił handel i posiadał małą, ale uczciwie zdobytą fortunę, więc kupił małą posiadłość ziemską położoną sześć lig od Blois, w górze Loary, w stronę Orleanu, gdzie przywiózł mnie po moim przybyciu z Tours.

O godzinę drogi od Marnière, gdyż tak nazywała się nasza posiadłość, znajdował się zamek Haut-Coin³². Ów piękny majątek był własnością generała dywizji, hrabiego Filipone, włoskiego oficera, naturalizowanego we Francji.

³⁰ Blois – miejscowość i gmina we Francji, w Regionie Centralnym, w departamencie Loir-et-Cher nad rzeką Loarą; Blois było przez wiele wieków siedzibą królewską, a tym samym zamek w Blois, górujący nad miastem, był świadkiem wielu historycznych wydarzeń, także narodzin wielu potomków królewskich i śmierci członków rodzin królewskich.

³¹ Tours – miasto i gmina w środkowej Francji, nad rzeką Loarą, w Regionie Centralnym, prefektura departamentu Indre i Loara, w krainie historyczno-geograficznej Turenia; ośrodek kultu św. Marcina.

³² Haut-Coin (fr.) – Wyniesiony Zakątek.



Hrabia spędzał lato w Haut-Coin wraz ze swoją żoną i synem, wicehrabią Andreą. Hrabia był człowiekiem nieprzystępnym, gwałtownym, opryskliwym, który musiał dręczyć swą żonę i być jej katem, ponieważ biedna hrabina była blada, chorowita i pochyłona jak osiemdziesięcioletnia staruszka, chociaż miała zaledwie pięćdziesiąt lat.

Po naszym przybyciu do Marnière pewne kłopoty z leśnymi granicami zmusiły mojego ojca do nawiązania znajomości z hrabią. Zostałam przedstawiona na zamku.

Młodego hrabiego Andrei nie było w posiadłości. Miał powrócić z Paryża dopiero pod koniec miesiąca.

Hrabina mnie polubiła, a wkrótce mnie pokochała, gdyż stałam się dla niej towarzyszką w jej osamotnieniu. Tę nieszczęśliwą kobietę dręczyła jakaś ponura tajemnica, której sekret bez wątpienia był znany tylko jej i hrabiemu. Obaj małżonkowie nigdy nie pozostawali ze sobą sam na sam, nawet na krótką chwilę. Wobec obcych osób wymieniali kilka czułych słówek, ale gdy zostawali sami, nigdy ze sobą nie rozmawiali.

Pod koniec miesiąca, kiedy przybył wicehrabia, byłam już stałą bywalczynią na zamku Haut-Coin. Był to piękny mężczyzna, o gorącym i zarazem kpiącym spojrzeniu rasy południowców, temperowanym przez zachowawczy sposób bycia ludzi z północy. Na jego wargach błąkał się bezustannie jakiś drwiący uśmiech i już w ciągu pierwszych dni dostrzegłam, że swej matce okazywał jedynie chłodne przywiązanie.

Począwszy od dnia jego powrotu, hrabina, już tak blada i cierpiąca, stawała się coraz słabsza i pewnego dnia, z niezwyklej serdecznością ściskając moją rękę, powiedziała do mnie:

– Sądzę, że już odchodzę...

Rzeczywiście, kilka dni później wśród nocy do Marnière przybył posłaniec z Haut-Coin i chciał się ze mną zobaczyć. „Hrabina jest umierająca i pragnie panią widzieć” – powiedział. Wyruszyliśmy w drogę razem ze służącym i w towarzystwie mego ojca. Do zamku dotarliśmy przy pierwszych brzaskach dnia. Było to jesienią. Szare pochmurne niebo i zimne powietrze sprawiały, że można było powiedzieć, iż był to dzień konania.



Zastaliśmy panią Felipone leżącą w łóżku z oczami błyszczącymi od gorączki i pobladłymi wargami. U wezgłowia ksiądz odmawiał modlitwy za konających, a słudzy, klęcząc, płakali.

Daremnie jednak szukaliśmy wzrokiem hrabiego i jego syna.

„Od dwóch dni przebywają na polowaniu – szepnęła umiarkująco. – Już ich nie zobaczę...”. Faktycznie, hrabia i jego syn już od dwóch dni przebywali u swych krewnych w pobliżu Orleanu, o dziesięć lig od Blois. Smutno było patrzeć, że ta kobieta, mająca syna i małżonka, będzie musiała zgasnąć pośród obcych i że ręka dziecka nie zamknie jej powiek...

Skonała o dziesiątej rano, a jej ostanie słowa brzmiały: „Andreo, niewdzięczny synu!”. Usłyszałam też, jak jeden ze starych służących cichutko szepcze: „To pan wicehrabia zabił swoją matkę”.

No więc, czy uwierzysz, mój przyjacielu, że wtedy już kochałam tego człowieka, a on sam ośmielił się wyznać namiętność, którą w nim wywołałam...? Jak on to zrobił, jakim piekielnie uwodzicielskim czarem mnie otoczył podczas tych trzech miesięcy, jakie upłynęły po śmierci jego matki? Nie jestem w stanie tego powiedzieć... ale zjawiał się pewnego razu, kiedy wierzyłam mu tak, jak aniołowie wierzą Bogu, i w ciągu jednej godziny uzyskał nade mną dziwną i czarującą moc, kiedy do mnie mówił:

„Marthe, przysięgam ci, że zostaniesz moją żoną, ale ponieważ mój ojciec nigdy nie zgodzi się na nasz związek, gdyż ja jestem bogaty, a ty biedna, to czy zechcesz ze mną uciec? Wyjedziemy do Italii, tam się pobierzemy, a czas – miejmy taką nadzieję – ułagodzi mego ojca.

– A mój ojciec? – spytałam przerażona.

– Przyjedzie do nas – odrzekł.

– Ale dlaczego już nie teraz wszystko mu wyznać?”

To pytanie wprawiło go w kłopot, ale po chwili odrzekł:

„Twój ojciec jest skrupulatny jak jakiś średniowieczny rycerz. Jeśli weźmiemy go na współnika, to nigdy nie będzie chciał oszukać mego ojca. Pojedzie do niego i w ten sposób na zawsze zniweczyłby nasze szczęście”.

Uwierzyłam temu człowiekowi, ustąpiłam i pojechałam z nim.

Było to podczas ciemnej zimowej nocy, mój przyjacielu, gdy uległszy prośbom tego szatana, opuściłam potajemnie ojcowski dom.



Powóz pocztowy oczekiwał na nas pół ligi od Marnière. Andrea wniósł mnie do niego wpół nieprzytomną z trwogi i wzruszenia.

W moim pokoiku pozostawiłam list na stole, długi list, w którym prosiłam ojca o przebaczenie, powiadamiając go o mojej ucieczce.

Tydzień później wjechaliśmy na teren Włoch i przybyliśmy do Mediolanu. Tam Andrea wynajął dom i przedstawiał mnie znajomym jako swą żonę, mediolańską szlachciankę. Przyjmowaliśmy wielu gości, prowadząc otwarty dom, po pańsku urządzony.

Błagałam go wiele razy, aby napisał do mego ojca i sprowadził go do nas.

„Otrzymałem wiadomości od twego i mego ojca – powiedział wreszcie któregoś dnia. – Ciągłe są wściekli, ale czas wszystko załagodzi. Czekajmy”.

Od tej pory jednak zaczął unikać wszelkich rozmów dotyczących naszego przyszłego małżeństwa.

Upłynęły dwa miesiące, w ciągu których kilkakrotnie pisałam do mego ojca, ale nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Dowiedziałam się później, że Andrea przejmował moje listy od służącego, który był zobowiązany zanosić je na pocztę.

Tymczasem Andrea prowadził w Mediolanie wesołe życie. Miał swoje konie, służbę, przyjmował wesołych gości i pozornie mogłoby się wydawać, że byłam| najszczęśliwszą z kobiet. Pewnego dnia jednak, gdy przypominałam mu o jego obietnicy, odpowiedział zniecierpliwiony:

„Poczekaj, moja droga. Mój ojciec jest stary i wkrótce umrze... Wtedy cię poślubię”.

Kiedy tak stałam, porażona taką odpowiedzią, on wyciągnął z kieszeni list i mi go podał. Był to list od jego ojca, który zaczęłam czytać, coraz bardziej blednąc.

Mój najdroższy synu – pisał hrabia – nie widzę nic niewłaściwego w tym, że uwodzisz młode dziewczyny z naszej okolicy i zabierasz je do Italii, ale pragnę wierzyć, że nie odważysz się ich poślubić, tym bardziej, że mam dla ciebie zaplanowane bardzo świetne małżeństwo.

List wypadł mi z rąk. Z osłupieniem popatrzyłam na Andreę.



„I cóż? – zapytałam. – Cóż zamierzasz teraz zrobić, mój panie?
– Co? – odparł. – Należy czekać.
– Czekać...? Na co?
– Na śmierć mego ojca – odrzekł zimno. – Dobrze go znam.
Jest zdolny mnie wydziedziczyć”.

I, odwróciwszy się na pięcie, opuścił mnie, nucąc jakąś arietkę³³.
– Ach, mój drogi! – szepnęła Marthe przygnębionym głosem. –
Od tego dnia zaczęłam odkrywać nikczemną naturę tego człowieka. Nigdy nie zamierzał zrobić ze mnie kogoś więcej, jak tylko swoją kochankę. Przez cały tydzień żyłam, ogarnięta jakąś niesamowitą gorączką, przeplatana majaczeniami... wzywałam mego ojca i błagałam Boga o przebaczenie... Na kolanach błagałam Andreę, by dla przywrócenia mi honoru poprowadził mnie do stóp ołtarza...

Odpowiedział mi komunałami i wymijającymi zdaniami.

Kiedy już doszłam do siebie, poszłam rzucić się na kolana przed księdzem, przyznałam się do błędu i poprosiłam go o radę.

Ksiądz mi powiedział:

„Jedź, moje dziecko, i wracaj do ojca, a Bóg, który jest wielki i miłosierny, przebaczy ci i może poruszy serce tego człowieka, który odmawia naprawienia krzywdy, jaką ci wyrządził”.

Mój ojciec! Przypomniałam sobie wtedy, jak niegdyś był pobłażliwy i dobry dla swego dziecka, i przyjąłem radę sługi bożego jako nakaz płynący z góry. Usłuchałam jego polecenia...

Następnego dnia rano oznajmiłam Andrei o moim odjeździe.

„Gdzie chcesz jechać? – zapytał mnie obojętnym głosem.

– Wracam do Francji, do mego ojca – odparłam mu dumnie. –
Jadę połączyć się z ojcem...

– Wracasz do ojca? – powtórzył lekko drżącym głosem.

– Tak – odparłam – i może mi przebaczy”.

Ze smutkiem pokiwał głową.

„Moja biedna Marthe – powiedział – zbyt długo ukrywałem przed tobą prawdę... Nie śmiałem ranić ci serca... ale... ale, niestety! Skoro stanowczo chcesz mnie opuścić, jestem zmuszony wszystko ci wyznać!

– Mój Boże! – wykrzyknęłam przerażona. – Co chcesz mi powiedzieć?

³³ *Arietka* – aria o blażej treści.



Zamiast odpowiedzieć podał mi list z czarną pieczęcią, datowany miesiąc wcześniej...

– Mój ojciec umarł...! Umarł z bolesti... I ja go zabiłam!”

– Biedne Marthe! – rzekł artysta, ujmując w swoje ręce dłoń młodej kobiety, która wspomniawszy o ojcu, zalała się rzewnymi łzami.

Dziewczyna obtarła łzy i mówiła dalej.

– Mój ojciec już nie żył. Kochałam Andreę, bo na tym świecie nie było już nikogo, kogo mogłabym kochać. Andrea podwoił swą tklivość, pieczyoty oraz opiekę, a ja nie miałam odwagi go opuścić.

Podczas pierwszych miesięcy mej żałoby był dla mnie dobry i pełen czułości. Uroczyście przysięgał mi, że nie będzie miał innej kobiety oprócz mnie, a ja uwierzyłam w te zapewnienia.

Wkrótce jednak jego porywczy i nikczemny charakter znowu wziął górę. Znowu stałam się jego kochanką, a nie żoną. Ponownie otworzył nasz dom dla swoich kompanów rozpusty i orgii. Wtedy zrozumiałam, że byłam dla niego tylko zwykłą zabawką.

Może jeszcze mnie kochał, ale tak, jak się kocha psa, konia, słowem jakąś rzecz, którą się posiada i która jest naszą własnością.

Względy, jakimi mnie z początku otaczał, znikwały jedne po drugich; zaczął mnie szorstko traktować... a ja ciągle go kochałam...

Posunął swoją bezczelność do tego stopnia, że sprowadził do domu jakąś kwiaciarkę, którą spotkał pod portykiem³⁴ teatru La Scala³⁵.

Wówczas postanowiłam nieodwołalnie uciec od tego człowieka, który stał się dla mnie wstrętny... Uciec... lecz gdzie? Dokąd pójść...?! Ponadto panował nade mną dziwną i ohydną siłą pana nad niewolnikiem, coś jak zapatrzenie się gada na ptaka. Ten jego przemożny wpływ doprowadzał mnie do strachu, bo już wcale nie starał się ukrywać swego zepsutego charakteru i swoich okrutnych instynktów.

³⁴ *Portyk* – zewnętrzna część budowli wysunięta ku przodowi albo wglębiona, otwarta przynajmniej z jednej strony rzędem kolumn lub filarów, osłaniająca zwykle główne wejście.

³⁵ *Teatr La Scala* – najslynniejsza scena operowa w Mediolanie i we Włoszech i jedna z najslynniejszych na świecie; gmach teatru zaprojektował w latach 1776-1778 architekt Giuseppe Piermarini; na podstawie jego planów w ciągu dwóch lat powstał gmach z klasycystyczną fasadą; w teatrze mieściło się ponad 3000 widzów, iluminowany był tysiącem świec, posiadał pięć wieńców łóz, z których każda była inna.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

